świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 98 (1672) Warszawa, piątek, 8 grudnia 1967 r. Cena 50 gr

DZIŚ NA STR. 4 i 5

KAR... NAWAŁOWY BAL KOSTJUMOWY

„OD STROJU W JASEŃKI PO SPÓDNICZKI MINI"
(Parparada, czyli parada par)
pióra: W. CHOTOMSKIEJ i W. BISKO

W następnym numerze

Wielki Plebiscyt, do którego zapraszamy wszystkich czytelników. Na uczestników czekają liczne i atrakcyjne nagrody.

Za 10 dni

— świąteczny, podwójny, numer „ŚWIATA MŁODYCH"". T-a-a-ki numer jest tylko raz w roku.

Najprymitywniejsze PLEMIĘ AUSTRALII

MY, LUDZIE CYWILIZOWANI, wkraczamy w wiek atomu, podboju Kosmosu, a tymczasem na naszej planecie żyją plemiona, dla których czas zatrzymał się jakby w miejscu. Takimi prymitywnymi ludźmi są np. Aborygeni, potomkowie prawdziwych mieszkańców Australii. Potrafią oni przetrwać niezwykle ciężkie warunki, są prymitywniejsi nawet od Pigmejów. Aborygeni żyją bowiem w całkowicie pustynnych okolicach. Nie mają nic — sprzętów w nowym pojęciu, nie budują chat, choćby prostych szałasów.

Rejony ich zamieszkiwania są niezwykle ubogie również w faunę. Aborygeni ciągle jednak przenoszą się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pożywienia. Bywa jednak, że zatrzymują się przy jakiejś skale czy pagórku na długie tygodnie. Latem, kiedy z nieba dosłownie leje się żar, jedynym schronieniem Aborygenów jest cień skały.

Deszcz jest dla nich prawdziwym dobrodziejstwem. Pora deszczowa to jakby święto dla Aborygenów. Ludzie uganiają się wówczas za chmurami, aby ugasić pragnienie. Na nieszczęście w ciągu całego roku suma opadów wynosi zaledwie 12 cm.

Właściwie wszystko, co żyje, nadaje się do jedzenia — taką przynajmniej „filozofię" wyznają Aborygeni. W czasie ciągłych wędrówek, przodem idą dzieci. Wszystko, co znajduje się na ich drodze, zostaje schwytane. Spożywają więc owady, gryzonie, no i oczywiście przeróżne korzonki.

W pustyniach zima jest nieco inna niż u nas — nie ma śniegu (bo i opadów nie ma), temperatura jednak spada nocą do minus 20 stopni. Jak wytrzymują takie surowe warunki niemal półnadzy Aborygeni? I na to mają sposób — rozpalają wieczorem ogniska i kładą się między nimi. Gdy ogień przygaśnie, przesuwają się na ciepły popiół i tak przesypiają do rana. W dzień jest pół biedy, bo ciepło daje słońce.

Do dziś nie można zrozumieć, jak ludzie ci mogą żyć w tak prymitywnych i ciężkich warunkach. Cywilizowany człowiek nie przetrwałby tam nawet roku. Aborygeni mają „końskie" zdrowie i niesłychaną sprawność fizyczną. (bor)

KLUB NASTOLATKÓW

Dziś zrozumiałam...

CHODZĘ DO VIII KLASY i mam, a właściwie miałam przyjaciela-rówieśnika. Zawsze mi towarzyszył, pomagał w nauce, pocieszał. Kiedy oberwałam „pałę" przestrzegał: „Skończ z chuliganami!"

Nie słuchałam, imponowali mi starsi chłopcy, palący papierosy. Znałam ich kilku, umawiałam się z nimi, chodziliśmy wieczorami nad wodę, paliliśmy papierosy.

Mój przyjaciel-rówieśnik, Jacek — ostrzegał, tłumaczył, że skończy się to źle. Nie słuchałam. Wreszcie Jacek postawił sprawę jasno — albo ja, albo oni, ci z ciemnych ulic.

Powiedziałam mu coś przykrego, nazwałam smarkaczem! Przestał ze mną rozmawiać. A ja nadal bawiłam się w towarzystwie ciemnych bohaterów.

Dziś zrozumiałam, że źle zrobiłam, poprawiam się już, mam lepsze stopnie. Lecz nie mogę już odzyskać przyjaciela, wstyd mi przed nim.

Poradźcie, co robić?! Jak odnowić przyjaźń. (rj)

INKA

Do czego służy słoniowi trąba

TRĄBA SŁONIA jest narządem, który pod względem sprawności przewyższa jedynie ręka ludzka. Trąba zawiera około 40.000 mięśni i wysoko rozwinięte unerwienie ruchowe i czuciowe. Jest ona supernosem, narządem zmysłu słonia, służącym do zdobywania informacji o otoczeniu. Za pomocą trąby zwierzę wyczuwa kierunek. Jednocześnie może wyrwać z korzeniami drzewo, podnieść szpilkę z ziemi, odkorkować butelkę, rozsupłać węzeł, rzucić i złapać piłkę itp.

POD CHOINKĘ

„SŁOWO POLSKIE" we Wrocławiu od lat siedmiu prowadzi pożyteczną, piękną akcję: „Uśmiech pod choinkę". Ma ona na celu zbiórkę pieniędzy, zabawek, książek, ubrań. Prezenty te przekazywane są dzieciom z domów dziecka, zakładów specjalnych i wychowawczych, sanatoriów i szpitali w całym kraju.

Nasza drużyna brała już udział w tej akcji w latach ubiegłych. Sprawą tą zajmujemy się również w tym roku. Apelujemy do wszystkich harcerzy o przyłączenie się do tej akcji.

Dla nas będzie to niewielki wysiłek, a dla dzieci, które nie mają tak szczęśliwego dzieciństwa jak my, wielka radość i pociecha. Wczujmy się choć na chwilę w ich sytuację. Nie mają rodziców, są samotni. Będzie im miło, że ktoś o nich myśli i pamięta.

Miejscem zbiórki darów jest sekretariat Szkoły Podstawowej nr 71 we Wrocławiu przy ul. Podwale. Pieniądze można przelać na konto: PKO I Oddział Miejski we Wrocławiu 8-187 „Samorząd Uczniowski" przy Szkole Podstawowej nr 71, nr książeczki PKO-27-WI 1332637.

(bs).

Czuwaj!

40 ŚWIDNICKA DRUŻYNA HARCEREK PRZY SZKOLE PODSTAWOWEJ NR 10

Mistrz Polski GÓRNIK ZABRZE

Mistrz polski — Górnik-Zabrze. Stoją od lewej: kapitan drużyny Stanisław Oślizło, a następnie: bramkarz Kostka, Kuchta (na zdjęciu niewidoczny), Lubański, Floreński, Musiałek, Olek, Latocha, Deja, Wilczek i najmniejszy Szołtysik. foto: M. Świderski

Nie dawano im szans. Wygrali wprawdzie pierwszy mecz w Kijowie, strzelili dwa wspaniałe gole z cudownych akcji, tracąc tylko jedną bramkę — ale ostateczny wynik meczu uważano jednak za przypadkowy. Dynamo nie doceniło polskiej jedenastki, było w słabszej formie, rewanż o każe, kto ostatecznie wywalczy miejsce w ćwierćfinale Klubowego Pucharu Europy — tak pisali komentatorzy sportowi i to nie tylko radzieccy...

No i nadszedł rewanż. Na wielkim Stadionie Śląskim w Chorzowie zebrało się 100 tysięcy polskich kibiców. Wszyscy wierzyli w swoją górniczą drużynę. Wygrali w Kijowie — wygrają i u siebie w domu! Swoje boisko, swoja publiczność — to elementy, które w piłkarstwie bardzo się liczą. Uwagi fachowców — owszem, czytano, zdawano sobie sprawę, że mecz będzie trudny — ale kibice — wiadomo — znają się na piłce najlepiej.

Miliony kibiców piłkarskich w Związku Radzieckim było absolutnie przekonanych, że wygra ich Dynamo — ich mistrz! Że mecz odbywał się na Śląsku?... Cóż z tego. Jeśli górnicy potrafili wygrać w Kijowie — to Dynamo musi tej sztuki dokonać w Chorzowie! Stać ich przecież na to. W eliminacjach właśnie ich drużyna pokonała zdobywcę Klubowego Mistrza Europy — słynny zespół Celtic z Glasgow. Kibice radzieccy mieli więc prawo wierzyć w sukces swojego zespołu, mieli prawo oczekiwać na zwycięstwo i to różnicą dwóch bramek. Tylko bowiem taki wynik zamykał Górnikom drogę do dalszego awansu.

Wiecie już, że mistrz Polski — Górnik-Zabrze — uzyskując wynik remisowy (1:1) na Śląskim Stadionie — wyeliminował mistrza ZSRR w dalszych rozgrywkach o Klubowy Puchar Europy. Nasza drużyna awansowała więc do ćwierćfinału. Znajduje się teraz wśród ośmiu najlepszych zespołów klubowych w Europie. Czekają naszego Górnika dalsze mecze. Z kim przyjdzie im walczyć?... Ze słynnym Realem-Madryt, czy angielskim Manchester United? ...Przeciwnika wyznaczy los.

Wróćmy jednak do meczu z Dynamo — Kijów. Niektórzy twierdzą, że mecz nie był ciekawy, że nasi bronili się i tylko bronili, wykopując piłkę na oślep, jak najdalej od własnej bramki. Nieprawda!

Na tym meczu starły się ze sobą dwie doskonałe drużyny. Dynamo — nie miało nic do stracenia. Żeby walczyć dalej w rozgrywkach, musiało zwyciężyć i to różnicą aż dwóch

Rysował: J. Czerwiński

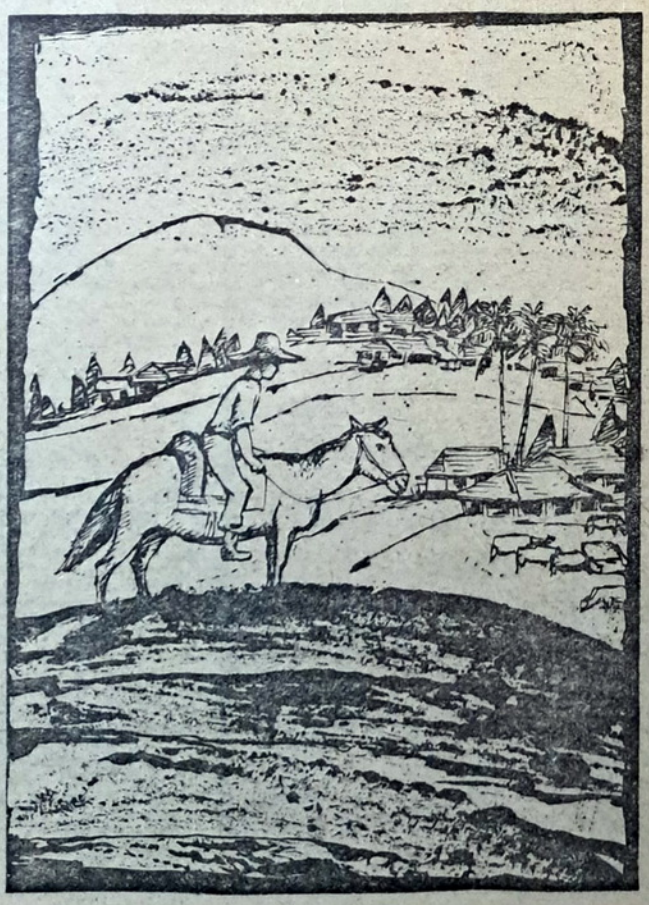

PODRÓŻE

IDĄC NA SPOTKANIE z panem doktorem Apoloniuszem Zarychtą, przygotowywałem się na to, że będziemy rozmawiali wyłącznie o poważnych i trudnych sprawach nauki. A tymczasem przekonałem się, że naukowiec, pracownik Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Warszawskiego, ma do powiedzenia wiele ciekawych spraw niekoniecznie związanych z ustalonym kierunkiem badań naukowych.

Zaczęło się bardzo dawno...

JESZCZE za czasów, kiedy Polska była pod zaborami obcych mocarstw. Młody wówczas pan Zarychta należał do nielegalnego Dąbrowskiego Kółka Wycieczkowego, które prowadziło swoją działalność na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Dlaczego nielegalne? Wszystko, co miało wówczas jakikolwiek związek z Polską, musiało być nielegalne. Młodym chłopcom nie chodziło wyłącznie o prowadzenie wycieczek i wyrabianie „hartu ciała". Najważniejsza dla nich była działalność, która miała za cel wyzwolenie Polski.

Za emigrantami do dalekiej Brazylii

PRZESZŁA pierwsza wojna światowa (1914—1918). Polska stała się krajem niepodległym. Wyniszczony zaborami i wojną kraj wolno, zbyt wolno, podnosił się z ruin. Panowało bezrobocie.

Nic dziwnego, że wielu Polaków wybierało życie na obczyźnie gdzie mogli znaleźć znośne warunki, gdzie mogli wykorzystać rozumnie swoją wielką energię i chęć pracy.

Jednym z krajów, który mógł przyjąć polskich emigrantów — była Brazylia, piąty co do wielkości kraj na świecie (po ZSRR, Kanadzie, Chinach i Stanach Zjednoczonych). Kraj, w którym jeszcze dzisiaj, to znaczy w roku 1967, są nie zbadane przez człowieka tereny. W roku 1922, kiedy płynął do Brazylii dwudziestotrzyletni pan Zarychta, białych plam na mapie było tam dużo, dużo więcej, a obszary nie tknięte stopą europejskich przybyszów — ogromne.

Polacy przybywali do południowej części Brazylii już od połowy XIX wieku. Losy osadników, zdanych na morderczą walkę z nieznanym żywiołem, opisała nasza wielka poetka Maria Konopnicka w utworze pt. „Pan Balcer w Brazylii".

Nasi rodacy osiadali w stanie Parana, wokół miasta Kurytyba. Zastawali tam nieprzebyte dżungle, które po wielu latach ciężkiej pracy przy karczowaniu drzew i zarośli, zamieniali na uprawne pola. Zupełnie tak samo jak nasi przodkowie przed tysiącem lat w Polsce, podobnie jak bohaterowie „Starej Baśni" Józefa Ignacego Kraszewskiego. Obecnie w Brazylii jest ok. 400 tysięcy Polaków.

Pan Zarychta został po'skim nauczycielem w Paranie. Prawdę powiedziawszy, przyczynił się do tego, że emigranci, pochodzący przeważnie z polskich wsi — ukochali jeszcze bardziej Polskę, swój „stary kraj". Nauczył ich jednak więcej — po prostu nauczył tego, jak żyć i odnosić sukcesy w obcym kraju, jak wszędzie, na każdym kroku służyć człowiekowi i postępowi. Prócz tego, że uczył w szko-

bramek. Dlatego wiedziano z góry — że Dynamo zastosuje zmasowany atak! Atak i jeszcze raz atak! Znając kondycję zawodników radzieckich i ich technikę — należało wybrać taki wariant gry — który nie dopuściłby piłkarzy radzieckich do wolnych pozycji strzeleckich. Należało im więc przede wszystkim „zamurować" dostęp do własnej bramki, nie zaprzestając ataków z nagłych wypadów. Taktyka trenerów Górnika — Węgra dr Geze Calocsaja, oraz Ernesta Pola — przyniosła sukces. Nasz blok defensywny z bramkarzem Kostką, stoperem Stanisławem Oślizłą, Floreńskim, Kuchtą, Olkiem... był nie do przebycia, nawet dla najsłynniejszego piłkarza radzieckiego — Byszowca. Natomiast w przodzie czyhał jak tygrys Włodzimierz Lubański. Jego rajdy z piłką były najwyższej klasy światowej. Tak może grać tylko naprawdę wielki piłkarz. Takim piłkarzem jest Włodek.

Jeszcze nigdy Polska drużyna piłkarska nie zakwalifikowała się do ćwierćfinału piłkarskiego Klubowego Pucharu Europy. Dokonał tego tylko zabrski Górnik.

Życzymy Górnikom — w imieniu miliona naszych czytelników — dalszych sukcesów.

Co tu dużo mówić — wierzymy w nich!

ZB. PAWŁOWSKI

ZNAKOMITY NAPASTNIK

Kiedy miał tyle lat, co wy teraz, był... bramkarzem reprezentacji piłkarskiej ulicy Sztygarskiej, w niewielkiej miejscowości Sośnica na Śląsku. Chłopcy rozgrywali wtedy mecze z sąsiednimi ulicami i byli nie do pokonania. Dzięki bramkarzowi, który grał jak lew.

Jak się już pewnie domyślacie, tym bramkarzem był... Włodek Lubański. Chłopcy nie chcieli go widzieć w ataku, gdyż Włodek był długi i chudy, wyższy od innych chłopców o głowę i z taką „tyką" w ataku chłopaki po prostu nie chcieli grać.

O tym, iż Włodek zaczął wreszcie grać w ataku, zadecydował przypadek. Na którymś tam meczu kontuzji uległ środkowy napastnik z ulicy Sztygarskiej. Skręcał się na boisku z bólu i nie mógł dalej grać. Chłopcy zdecydowali więc, że pójdzie on na bramkę, a Włodek do ataku. I tak, w tym meczu, Włodek strzelił cztery bramki i zyskał sławę napastnika.

Dziś Włodzimierz Lubański jest czołowym naszym napastnikiem. Jest jednym z najlepszych piłkarzy świata. Jest niezwykłym talentem, który wciąż się rozwija. Sami zresztą o tym dobrze wiecie, gdyż nieraz obserwowaliście go na boisku.

Foto: J. Dąbrowski

WIELKIE IMPREZY PIŁKARSKIE

● Największą imprezą piłkarską na świecie są przede wszystkim mistrzostwa świata. Turnieje o tytuł mistrza odbywają się co cztery lata i biorą w nich udział reprezentacje krajów całego naszego kontynentu. Pierwsze mistrzostwa świata w piłce nożnej odbyły się w roku 1930. Zwycięstwo odniosła wtedy reprezentacja Urugwaju. Ostatnie mistrzostwa odbywały się w Londynie w ubiegłym roku. Zwyciężyła wtedy reprezentacja Anglii, drugie miejsce zajęły Niemcy Zachodnie, trzecie wywalczyła Portugalia, a czwarte — Związek Radziecki. Najbliższe mistrzostwa świata odbędą się w roku 1970 w Meksyku.

● Druga największa imprezą w piłce nożnej są mistrzostwa Europy rozgrywane po raz pierwszy. Walka o tytuł trwa w tej chwili jeszcze w grupach eliminacyjnych. Niestety, reprezentacja Polski, walcząc w grupie eliminacyjnej z Francją, Belgią i Luksemburgiem, odpadła już z dalszych rozgrywek.

● Imprezą natomiast, która cieszy się wśród piłkarzy i kibiców w całej Europie ogromnym uznaniem, są rozgrywki o klubowy Puchar Europy. W imprezie tej uczestniczą drużyny klubowe, które uzyskują tytuł mistrza piłkarskiego swojego kraju. Impreza ta rozgrywana jest już od 13 lat. Tytuł najlepszej piłkarskiej klubowej drużyny Europy uzyskiwały kolejno: hiszpański zespół Real-Madryt (aż 5 razy pod rząd), włoski Inter z Mediolanu, portugalski zespół Benfica z Lizbony, szkocki Celtic z Glasgow itd. Polskie drużyny nie miały dotychczas szczęścia w tej imprezie. Dopiero w tym roku nasz Górnik zakwalifikował się po raz pierwszy do ćwierćfinału, zwyciężając sławne Dynamo Kijów. Impreza ta rozgrywana jest rok rocznie w okresie jesień—wiosna. Tytułu bronił szkocki Celtic, ale odpadł już z dalszych rozgrywek, przegrywając właśnie z Dynamo.

● Odbywa się również rok rocznie bardzo ciekawy Turniej Zdobywców Pucharów. W tym roku w tej ciekawej imprezie piłkarskiej uczestniczyła nasza Wisła z Krakowa, aktualny nasz zdobywca Pucharu Polski. Niestety, Wisła odpadła już z dalszych eliminacji. (ZP)

Pana ZARYCHTY

le, pan Zarychta pisał artykuły do polskich gazet ukazujących się w Brazylii.

Pan Zarychta jest doskonałym obserwatorem. Przez dwa lata swego pierwszego pobytu na obczyźnie zobaczył tyle, że innym starczyłoby tego na całe życie. Część swoich przeżyć i obserwacji opisał w książce, która poświęcił młodzieży pt. „W szkole i w dżungli". Książkę tę wydała Nasza Księgarnia w roku 1966.

A podróże?

DLA PANA Zarychty nie jest jeszcze prawdziwą podróżą jazda pociągiem, czy nawet lot samolotem na drugą półkulę. Przebyć cały kontynent, nie bojąc się wędrówki konno, pieszo, na małych łodziach, przygodnych stateczkach i, co najważniejsze, mając przed sobą ściśle określony cel — to co innego, to prawdziwa podróż. W roku 1928 w taki właśnie sposób przebył całą odległość dzielącą Ocean Atlantycki od Pacyfiku.

Po uciążliwej wędrówce dotarł do celu. Razem ze swoimi towarzyszami zbadał bieg i brzegi rzeki Tambo (płynącej na terytorium Peru). Rzeka ta uchodzi do znanej nam z powieści Arkadego Fiedlera — rzeki Ukajali, która z kolei wpływa do najpotężniejszej z rzek na świecie — Amazonki.

Wielokrotnie życie pana Zarychty było w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wyobraźcie sobie ucieczkę z płonącego na Amazonce statku. Na każdym kroku wśród nieznanej tropikalnej dżungli ma się do czynienia z jadowitymi wężami, których w Brazylii nie brakuje. Nieznany świat przynosi nieznane choroby, które w wielu wypadkach są nieuleczalne.

Co tu dużo pisać. Doskonale znacie takie historie z własnej lektury podróżniczej, poznacie też z książki pana Zarychty.

Przygoda nad Biebrzą

KIEDY jednak zapytałem swego rozmówcę o najbardziej niebezpieczną przygodę — odpowiedział bez wahania, że miała ona miejsce nad rzeką Biebrzą (w województwie białostockim) na polowaniu. Po prostu zszedł tonąć w bagnie. Tylko niezwykłe opanowanie i spokój zwróciły mu życie. Musiał bardzo ostrożnie chwycić najpierw listek, potem gałązkę łoziny i powoli „wyciągnąć się z bagna". Każdy nieostrożny ruch mógłby spowodować złamanie słabej gałązki i dla tonącego nie byłoby ratunku. Pomyśleć tylko — po przemierzeniu wielu kilometrów w niebezpiecznej i nieznanej dżungli — taka przygoda w rodzinnym kraju.

Prawdziwi Indianie

OCZEKUJĘ opowieści co najmniej fantastycznych.

Okazuje się jednak, że Indianie zepchnięci przez zaborczych przybyszów w głębokie dżungle to po prostu wynędzniali i głodni ludzie. Wielu zmienia swój odwieczny sposób życia i zaczyna uprawiać ziemię.

Nad potężną Amazonką spotkać można Indian, którzy podpływają do statków na swoich małych łódeczkach i za pomocą kilkunastu podstawowych słów portugalskich (język urzędowy w Brazylii) oferują swoje towary w celach wymiennych.

Niektórzy z Indian nie znają w ogóle języka białych. Ten, kto chce się z nimi porozumieć — musi nauczyć się ich języka.

Czasem Indianie są niebezpieczni, to prawda. Ale wszystko zależy od tego, z kim mają do czynienia. Jeżeli idą do nich prawdziwi przyjaciele — nawiązują dobrosąsiedzkie stosunki. Jeżeli przychodzi wróg — potrafią walczyć w obronie swojej wolności niekiedy przez długie lata.

A oto przykład. Już na przedpolu Andów, największych gór Ameryki Południowej, na terytorium kontrolowanym przez Indian — pan Zarychta i jego towarzysze podróży, a nawet pomagający im Indianie — odczuwali uzasadniony lęk. Spotkanie z wojownikami indiańskimi mogło być groźne. Na strachu się jednak skończyło. Sprawę wyjaśniła powiewająca nad obozowiskiem biało-czerwona flaga, polska flaga. Indianie Campa (tak się nazywali) obawiali się „innej flagi", tej, która powiewała nad obozami peruwiańskich żołnierzy.

Z pewnością obdarłem „Czerwonych Braci" z fantastycznej legendy i z barwnych piór. To dlatego, że ich codzienna rzeczywistość jest bardzo smutna.

Jeszcze tyle zostało do powiedzenia...

CHOCIAŻBY o długich godzinach spędzonych na pracy i nauce. O osiągnięciach naukowych, których doktorowi nie brak. Skończę jednak na tym, bowiem wystarczy to, aby pokazać postać naukowca, którego życie związane było nie tylko z wybranym zagadnieniem naukowym, ale również ze sprawami obchodzącymi wszystkich.

WITOLD KAISER

Rys. J. Czerwiński

KAR...NAWAŁOWY BAL KOSTIUMOWY

OD STROJU W JASKINI DO SPÓDNICZKI MINI

(parparada - czyli parada par)

Napisali: Wanda Chotomska i Wacław Bisko

JEST RZECZĄ NIEWĄTPLIWĄ, że zabawa karnawałowa musi się odbyć i udać tak, żeby jej uczestnicy mogli kiedyś swoim wnukom opowiadać: „Ubaw był po pachy".

W związku z tym **Komitet Zabawowy** powinien zadbać — przynajmniej na dwa tygodnie przed zabawą — o zorganizowanie szatni i bufetu, przygotowanie dekoracji, zamówienie orkiestry albo muzyki mechanicznej (magnetofon, adapter) i opracowanie **repertuaru rozrywkowego.**

Bal kostiumowy, który chcemy Wam zaproponować, prowadzą dwie osoby:

1) TYTUS DE ZOO — chłopiec wymowny i śpiewający, w dżinsach i trampkach. Do koszuli z przodu i z tyłu ma przyczepiony napis na kartonie: „TYTUS". Na głowie może mieć beret, a na twarzy — maskę małpy Tytusa, którą łatwo skopiować z rysunków Henryka Chmielewskiego, z naszej historyjki obrazkowej pt. „Tytus, Romek i A'Tomek". Przez cały czas zabawy TYTUS tylko raz zmienia swój strój, w przeciwieństwie do drugiej postaci wiodącej bal — DZIEWCZYNY. Jako rekwizytów TYTUS używa: tekturowej tuby oklejonej naszą gazetą, lusterka, latarki, konia na patyku, durszlaka (cedzaka), latarki i peleryny. Koń na patyku, durszlak, latarka i peleryna będą mu potrzebne tylko raz. Lusterko też. Tuba natomiast jest jego stałą partnerką.

2) DZIEWCZYNA — jak to dziewczyna: musi umieć mówić, śpiewać i przebrać się w ciągu zabawy w pięć różnych kostiumów oraz zagrać pięć różnych ról, bo na naszej zabawie wszystko musi być na piątkę. Wystąpi ona jako: JASKINIÓWNA, STAROŻYTNIANKA, DULCYNEA, MONA LIZA i WSPÓŁCZEŚNIACZKA.

Szczegóły co do stroju i ról wnet nastąpią.

UWAGA A: Na udekorowanej sali balowej, koło orkiestry albo źródła muzyki mechanicznej, należy przygotować ESTRADKĘ wg następującego projektu:

Drabina uwieńczona jemiołą, do drabiny przytwierdzony z lewej strony (u szczytu drabiny) sztywny transparent z dużym napisem „TU SIĘ PRZEDSTAWIA". Na szczeblach drabiny umieszczone są mniejsze napisy w następującej kolejności (od dołu): CIEBIE — TEŻ — CZEKA — SZCZEBEL — W — ROZWOJU — CZŁOWIEKA.

UWAGA B: Zamieszczone poniżej materiały repertuarowe najlepiej wykorzystać jako przerywniki między kilkoma tańcami, ale można je również „odegrać" jako całość. Pierwszy występ „przerywnikowy" należy zacząć po kilku tańcach, a występy — jako całość — trzeba „zaprodukować" w środku zabawy.

DRAKA JAKO TAKA

JASKINIOWIEC TRUJE ZDROWIE

(Po kilku tańcach TYTUS daje znak orkiestrze, żeby zrobiła tzw. „tusz", czyli gwałtowny, milknący hałas, albo uderza w gong. Gong, może być z patelni. Kiedy widownia uciszy się nieco, TYTUS stając obok drabiny, woła przez tubę)

TYTUS:

Szanowni Państwo! Proszę o ciszę, bo w takim gwarze sam się nie słyszę!

(Wskazuje na transparent)

Tu się przedstawia...

(Wskazuje na widownię)

... a tam się siada...

... Proszę usiąść, na czym kto może, proszę się nie krępować...

... Zaraz rozpocznie się par parada! W tej parparadzie czyli zabawie,

(Wskazuje na drabinę)

pod tą drabiną i pod jemiołą zacznę od tego, że się przedstawię:

(Wskazuje na siebie)

Komiwodzirej — Tytus de ZOO!

(Uderza się w pierś)

Zacząłem pierwszy — nie moja wina! Winien jest Darwin i mój pradziadek, albowiem — zdaniem pana Darwina — małpa zaczęła ludzką paradę!

(Patrzy w lusterko i mówi bez tuby do siebie)

Para za parą przedstawi tu się, a ty chcesz działać solo? Tytusie! Tu lubę będą mówić do lubych, a ty do kogo?...

(Mówi przez tubę do publiczności)

... Ja — do tej tuby! Tubo, powtarzaj za mną te słowa i jaskiniowców parę zapowiedz! Niech o ciąg dalszy ICH boli głowa, bo tuż po małpie był jaskiniowiec!

(TYTUS kłania się i schodząc z ESTRADKI WSKAZUJE na wchodzącą parę JASKINIOWCÓW. Oboje ubrani są krótko, występują na bosaka, w kożuszkach włosiem na wierzch. JASKINIOWIEC w rozkudłanej peruce na głowie, w lewej ręce trzyma miękką maczugę — można ją zrobić z wypchanej galganami pończochy — a prawą ręką ciągnie za rozkudłane włosy JASKINIÓWNĘ, która śpiewa następujący tekst na melodię ballady „Odrażający drab" z repertuaru „Starszych Panów")

DZIEWCZYNA (JASKINIÓWNA):

Chodzę z chłopcem —
jaskiniowcem,
a on serce ma jak głaz...

JASKINIOWIEC (uderza dwukrotnie JASKINIÓWNĘ maczugą po plecach):

Bach, bach!

JASKINIÓWNA:

Rwie mnie biedną przez manowce
i wali raz po raz!

JASKINIOWIEC:

Ja serduszko mam jak głaz,
więc walę raz po raz!

JASKINIÓWNA:

Ja mu mówię: mój mamutku,
piękny księżyc bądź co bądź...

JASKINIOWIEC (bijąc):

Bach, bach!

JASKINIÓWNA:

Szepnij „kooocham" po cichutku,
a on — zaczyna kląć!

JASKINIOWIEC:

Czniam na księżyc, bądź, co bądź,
przeto zaczynam kląć!

JASKINIÓWNA:

Ja mu mówię: mój aniele,
śpiewu ptaszął słuchać chcę...

JASKINIOWIEC (bijąc):

Bach, bach!

JASKINIÓWNA:

... A on rzuca decybele
i ryczy „Je, je, je!"

JASKINIOWIEC (wrzaskliwie):

Ona ptaszków słuchać chce?!
O je, je, je, je, je!

JASKINIÓWNA:

Marnowałam dni i noce,
wyżej uszu tego mam!

JASKINIOWIEC (bijąc):

Bach, bach!

JASKINIÓWNA (odchodząc z ESTRADKI):

Pójdę w innej żyć epoce,
a ty zostaniesz sam!

JASKINIOWIEC:

Nie zostanę wcale sam
(wskazuje maczugą na widownię)
bo jest tu wiele dam!

(Stuka się w głowę maczugą i śpiewa)

W głowę stukam się maczugą,
bo niekiepski zamiar mam...
Bach, bach!
Wykorzystam ją niedługo
do odbijania dam!
Oj, niekiepski zamiar mam,
odbiję parę dam!

(JASKINIOWIEC schodzi na widownię. Na ESTRADKĘ wchodzi TYTUS i woła przez tubę)

TYTUS:

Uwaga! Odbijane, wyjątkowe, białe tango jaskiniowe! Panie proszą panów! Orkiestra please, czytaj plis!

(Wszyscy tańczą tango, JASKINIOWIEC odbija chłopcom partnerki, posługując się maczugą. To samo robi TYTUS posługując się tubą. W tym czasie DZIEWCZYNA (JASKINIÓWNA) przebiera się za kulisami w strój stanowiący mieszaninę elementów egipskich, greckich i rzymskich: uczesanie à la Kleopatra, mini-tunika z meandrem, włoskie „szpilki" na nogach)

WITAMY GOŚCI W STAROŻYTNOŚCI

(Po kilku tańcach na ESTRADCE pojawia się DZIEWCZYNA (STAROŻYTNIANKA). Obok niej staje TYTUS i wskazując na nią woła przez tubę)

TYTUS:

Jak świat głęboki, jak świat szeroki — dziewczyny mają różne wyskoki! Tą, żeby zrobić większy ambaras, aż w trzy epoki wskoczyła na raz! Uczes egipski, poniżej kiecka: mini-tunika — rzec

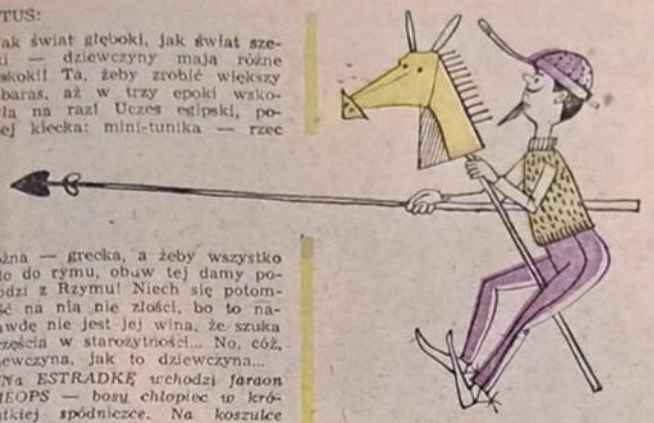

można — grecka, a żeby wszystko było do rymu, obuw tej damy pochodzi z Rzymu! Niech się potomność na nią nie złości, bo to naprawdę nie jest jej wina, że szuka szczęścia w starożytności... No, cóż, dziewczyna, jak to dziewczyna...

(Na ESTRADKĘ wchodzi faraon CHEOPS — bosy chłopiec w króciutkiej spódniczce. Na koszulce gimnastycznej ma napis: FARAON CHEOPS. Głowę ma przykrytą trójkątnym, papierowym „kapeluszem" zrobionym na zasadzie „łapanki". Na „kołnierzu" kapelusza widnieje napis: „CHEOPS". W rękach trzyma kielnię i cegłę)

CHEOPS (śpiewa na mel. refrenu piosenki „Małe mieszkanko na Marienstacie"):

Wpadłem na pomysł piramidalny
— jakem Cheops — mówię wam, że
samemu sobie w trybie specjalnym
za piramidę zbudować chcę!

(Wskazuje na STAROŻYTNIANKĘ)

Widzę, że siła robocza idzie,
więc chytry pomysł co do niej mam:
wnet ją zatrudnię przy piramidzie

(do STAROŻYTNIANKI)

podaj mi cegłę, miła madam...!

STAROŻYTNIANKA (śpiewa na tę samą melodię):

Musisz się obyć bez mej osoby!
Chcesz pomnik kultu jednostki wznieść?
Nie odpowiada mi twoje hobby,
więc odpowiadam: Cheopsie, cześć!

(CHEOPS schodzi z ESTRADKI. Wchodzi DIOGENES — chłopiec z przyprawioną brodą, w kostiumie, który przypomina beczkę. Mogą to być zawieszone na szelkach dwa remiączka i przyczepione do nich „klepki beczki" z tektury, przymocowane poniżej kolan do drewnianego albo tekturowego kółka. W lewej ręce DIOGENES trzyma kufel od piwa)

DIOGENES (śpiewa na melodię piosenki „Dzieci Pireusu"):

Po drodze można spotkać
jeden kiosk, drugi kiosk, trzeci kiosk
i już się nie ma troski!
Za rogiem można spotkać

czwarty kiosk, piąty kiosk, szósty kiosk
i nogi są jak wosk!
Ja mieszkam w beczce,
nazywam się Diogenes,
na scenę z tym refrenem
obecnie wiaczam się.
Po pełnym jasnym
mam w głowie pełne morze,
gdy spotkam dziewczę hoże —
przeważnie widzę dwie!

STAROŻYTNIANKA (śpiewa na melodię refrenu):

Ja wobec tego
nie będę bawić długo,
zostawię cię z tą drugą
i pójdę zwiedzić Rzym.
Chcę być szczęśliwa,
nie chcę nawarzyć piwa...

STAROŻYTNIANKA *(śpiewa na melodię refrenu tej piosenki albo deklamuje)*:

Dymem pożarów pachnie twe imię,
Neronie, ty podpalasz kraj,
a ja się nie chcę uwędzić w dym'e...
Ariwederczi, cześć, gut baj!

NERON odchodzi na lewo, STAROŻYTNIANKA — na prawo, a na ESTRADCE pojawia się TYTUS i woła przez tubę)

TYTUS:

W inną epokę poszła dziewczyna,
fakt to bezsporny i oczywisty! Ja
o zabawie wam przypominam i zapowiadam taniec ognisty:
Podkówieczki dajcie ognia, bo
dziewczyna tego godna! Ognisty
oberek — bez usterek! Panowie
szukają partnerek! Orkiestra
please, czytaj plis!

(Wszyscy tańczą, zabawa toczy się dalej)

MROK ŚREDNIOWIECZA NAS OGARNĄŁ...

(Ballada Don Chichota)

(Na sali gasną światła. Na ESTRADKĘ wchodzi TYTUS oświetlając się latarką. Niesie z sobą konia na patyku, pelerynę i durszlak, czyli cedzak)

TYTUS (woła):

Na sali się zrobiło czarno... Mrok średniowiecza nas ogarnął... O tej epoce nawet zwierzę wie, że bywali w niej rycerze! Ja także mam rycerską postać — błędnym rycerzem mogę zostać! Ja też rycerskie mam odruchy, więc średniowieczne wdzieję ciuchy...

(Przebiera się za rycerza i dosiada „konia")

... bo straszna bierze mnie ochota wystąpić w roli Don Chichota... Tak, tak, nie żadnego tam błędnego Don Kichota, tylko obłędnego Don Chichota, niech się nikt nie chichota.

(Śpiewa na melodię piosenki B. Choińskiego i K. Gałkowskiego „O kochaniu, który odszedł w siną dal")

Wskoczyłem już w epokę i na siodło
i czuję, że zabawy to właśnie będzie gwóźdź!
Dziewczęce oko w serce mnie ubodło...
Jak tak można słabe serce boleć
i boleć!

(TYTUS składa widownię do śpiewania refrenu)

Boleć, i boleć, boleć i boleć
jak tak można słabe serce boleć,
i boleć!

(Śpiewa solo):

W ciemności dojrzeć oko to nielatwo,
bo po omacku przecież pomylić można się,
więc elektrycy — skombinujcie światło,
bo to oko ja koniecznie dojrzeć chcę!

(Elektrycy włączają światło, a TYTUS skłania widownię do śpiewania refrenu):

Dojrzeć chcę, dojrzeć chcę,
bo to oko ja koniecznie dojrzeć chcę!

(Na ESTRADKĘ wchodzi DZIEWCZYNA — DULCYNEA. Ubrana jest w długą suknię na modłę hiszpańską albo cygańską, w uszach ma klipsy, a w ręku wachlarz. TYTUS ujrzawszy ją, śpiewa do niej na tę samą melodię):

TYTUS:

O, Dulcyneo, nie bądź zimna taka,
ja plackiem i szarlotką u Twoich legnę stóp!
Pokochaj mnie i konia — nieboraka,
co dla Ciebie rzuci chętnie każdy żłób!

(TYTUS dyryguje widownią śpiewającą refren):

Każdy żłób, każdy żłób,
co dla ciebie rzuci chętnie każdy żłób!

DULCYNEA (śpiewa na tę samą melodię):

Słyszę wyznanie, ale nie dowierzam —
— Sławnego Don Kichota z literatury znam! —

(Zdejmuje „durszlak" z głowy TYTUSA)

Tytusie, ty małpujesz dziś rycerza...

(Odchodzi)

Idę w erę nowożytną — dosyć mam!

(TYTUS dyryguje widownią śpiewającą refren):

Dosyć mam, dosyć mam!
Idę w erę nowożytną — dosyć mam!

TYTUS (mówi przez tubę):

Znikam ze wstydem i ze swym koniem — teraz rycerski będzie lets-kiss! Panowie panie całuja w dłonie!
Wszyscy się bawią! Maestro please, czytaj plis!

(Zabawa toczy się dalej)

(Żegna ręką odchodzącego DIOGENESA, a wita wchodzącego NERONA)

Ktoś do mnie ręką kiwa,
więc pójdę z nim jak w dym!

(Na ESTRADKĘ wchodzi NERON — chłopiec w sandałach, udrapowany prześcieradłem. Na głowie ma wieniec. W ustach trzyma grube, dymiące cygaro albo papierosa. Co chwila zapala zapałkę, gasi ją i odrzuca)

NERON (śpiewa na melodię canta znanej strażackiej piosenki „Bom ja jest strażak, jakich tu mało", a jeżeli nie zna piosenki, to deklamuje z patosem):

Ja jestem groźny Neron
i dobrze mi jest z tym!
Cygaro jak baleron
podpalam niby Rzym!
Zapałkę gubię w sianie,
cygaro wkładam w twarz
i jak na zawołanie
pożarna jedzie straż!

DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NUMERZE

Kuter nr 47

5

KIEDY KUTER zaczął drugi połów, Elegancik podszedł do Aloszy i podał mu do ręki palkę z hakiem na końcu.

— Pomagaj sortować — powiedział — nie jadalną na lewą burtę, pójdzie na mączkę, a jadalną na prawą.

Elegancik dźgnął hakiem w rybę, z lekka ruszył nadgarstkiem i ryba o wylupiastych oczach, kilogramowa, może dwukilogramowa, poleciała w odgrodzony deską kąt. Alosza zrobił to samo, ale jego ryba, nie wiadomo dlaczego, zawiercila się na haku i upadła pod nogi. Druga ryba mocno rzucona poleciała za burtę, gdzie z radosnym krzykiem rzuciły się na nią mewy.

— No, normalnie — powiedział Elegancik. — Pierwszy raz ja tak samo...

Machał rękami jak zawiadowca. Na pierwszy rzut oka mlócił po stosie ryby bez żadnego wyboru, jednak po każdym uderzeniu — albo w prawo, albo w lewo — dokładnie w przeznaczone miejsce upadała ryba.

Podszedł Wowa, wybrał z tego stosu trochę raków z małymi kleszczami i jednego dużego kraba. Poszedł do kambuza.

Z rufy, prawie w bród, po rybach przedzierał się wujek Kostia. Stał w rzędzie z Elegancikiem, jakby na komendę zamachali hakami. Ryby krążyły to w dół, to w górę, drogi ich krzyżowały się, ale się nie zderzały i każda trafiała tam, gdzie trzeba. Alosza zrozumiał, że porównując się z tymi dwoma nie ma żadnych szans. Żeby nie stać bezczynnie, zaczął wybierać z tej masy morskie jeże, gwiazdy i inne nieprzydatne stworzenia morskie. Wszystko to wyrzucało się za burtę. Alosza nadział hakiem kraba, pokrytego dużymi białymi guzami, i wtedy usłyszał Elegancika:

— Tych hakiem nie można. To samiczka. Przebijesz — nie będzie żyła. Bierz rękami.

— Sam wiem — powiedział Alosza i chciał obrazić się na Elegancika, ale nie zdążył, dlatego że krab boleśnie złapał go za palec. Alosza wziął kraba z góry za pancerz i wyrzucił do morza. Kiedy już wszystkie ryby były przesortowane, Elegancik poszedł do kubryku. Wujek Kostia przeciągnął się pojękując i przysiadł w kucki przy kołowrocie.

— Alosza — spytał — nie słyszałeś o nowym lekarstwie na reumatyzm? W radio kiedyś podawali... Trzy ukłucia i ból przechodzi.

— A ja radia nie słucham — powiedział Alosza. — My mamy telewizor.

Pewnie po rozwiązaniu krzyżówki wujek Kostia myślał, że Alosza wszystko wie.

— Przypomnij sobie — poprosił — nazywa się karbon albo kardon...

— Karbon to węgiel. Uczyliśmy się na chemii.

— No widzisz, jednak wiesz! — ucieszył się wujek Kostia.

— Wiem, co to jest węgiel...

— A mnie wszystko jedno, czy to węgiel, czy to ziela, byle pomogło.

— Węgiel nie jest lekarstwem — objaśnił Alosza — a karbon to po prostu węgiel i tyle.

— A więc nie wiesz — zrozumiał w końcu wujek Kostia. — Szkoda. A tę mątwę od razu odgadłeś. Zuch.

Zza sterówki pojawił się Wowa i przywołał Aloszę.

— Chodź, Alekay.

Wowa dał nurka do kambuza i wyciągnął stamtąd wiadro. Nad wiadrem unosiła się para i pachniało czymś słodkim. Nie mieszcząc się, z wiadra sterczały czerwone krabie nogi.

— Ja krabów nie lubię — powiedział Alosza.

— Coś taki wybredny — uśmiechnął się Wołodia. — Nie chcę cię wcale krabami częstować. — Wowa zamieszał chochlą i wyciągnął raka z grubym krótkim ogonem. — To jest langusta! We Francji takie coś kosztuje dużo dolarów.

— We Francji nie ma dolarów tylko franki — poprawił Alosza.

Wowa nie spierał się.

Rys. J. Rocki

— A ja cię poczęstuję bez franków, spróbuj.

Alosza odłamał ogon i wyciągnął zębami kawałek białego mięsa.

— Słodki — smakował — jakby krab.

— Nie krab, a langusta! — oburzył się Wowa. — Nic nie rozumiesz.

— Ja nie jestem Francuzem.

— Rzeczywiście, nie jesteś Francuzem — zamyślając się, powiedział przeciągle Wowa i zatrzasnął za sobą drzwi kambuza.

— „Wszyscy oni jacyś dziwni — pomyślał Alosza. — Jakieś cudaczne swetry, langusty, krzyżówki — jak dzieciaki".

Znowu zadźwięczał dzwonek w kubryku. Zaczynał się drugi połów.

W ciągu dnia wyciągali sieć siedem razy i tylko za jednym razem sieć była prawie pusta. Ale dla Aloszy ten właśnie raz okazał się udany. Nie zadając pytań, zrozumiał wreszcie, jak można poznać przy wyciąganiu, czy sieć jest z rybą czy bez. Cała tajemnica tkwiła nie w proroczej wiedzy kapitana, ale w bąbelkach. Jeżeli przy wyciąganiu woda kipi wokół sieci, to znaczy, że ciśnienie wyciska z ryby, wyciąganej z głębokości, powietrze. Jeśli są bąbelki, jest ryba. Nie ma w tym żadnego sekretu.

Zmęczenie poczuł Alosza dopiero wówczas, gdy miał iść do domu. Zwaliło się na niego w momencie, kiedy schodził do kubryku. Czy to od nieustannego chybotania czy od wiatru głowa jakby spuchła i waliło mu w skroniach. Skóra na twarzy piekła, obryzgana sokiem meduz. Bolały go barki i plecy od ciągłego nachylania się przy sortowaniu ryb. Mimowoli sklejały mu się powieki. Alosza siedział przy stole, a głosy marynarzy zlewały mu się w niezrozumiały bełkot. Oczywiście, Alosza nie spał, raczej starał się nie usnąć. Tylko na sekundę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zobaczył, że leży na koi okryty kocem. Zegar wskazywał w pół do dwunastej. Z pokładu dochodził stukot. Tam na pewno wyładowywano ryby. Alosza chciał wstać i iść. Jeszcze w ciągu dnia postanowił wrócić do domu i nie pokazać się nigdy na kutrze.

Ale pod kocem było ciepło, a droga do domu wydawała mu się bardzo uciążliwa. Trzeba było iść nieskończenie długo poruszając nogami. „Pójdę jutro, kiedy jeszcze wszyscy będą spali" — pomyślał Alosza i zasnął szybko kamiennym snem.

Kiedy Alosza otworzył oczy, w kubryku było pusto i podejrzanie widno. Zerwał się, ale znów go wciągnęło pod koc. Zegar wskazywał dziewiątą. Kubryk kołysał się razem z nim. Było jasne, że przespał wyjście w morze. Szybko włożył buty, wygramolił się na pokład. Ujrzawszy rybę na pokładzie zrozumiał, że przespał nie tylko wyjście w morze, ale i pierwszy połów.

Dziś silniej kiwało. Wstrzymywany sznurami sieci kuter jakby stał w miejscu, jakby nie szedł naprzód. Fale rozbijały się o prawą burtę bryzgając na pokład.

Ze sterówki uchyliwszy drzwi wysunął się kapitan.

— Chodź, tutaj! — powiedział.

— Dlaczego mnie nie zbudziliście? — powiedział Alosza z pretensją w głosie.

— A czy to należy do moich obowiązków? — spytał kapitan.

Alosza zrozumiał, że palnął głupstwo. Kapitan miał rację, ale w jego słowach wyczuł lekceważenie i zamiast mieć żal do siebie, poczuł go do kapitana.

— Pójdę pracować — powiedział.

Przytrzymując się za klamry, Alosza przedostał się na rufę. Wujek Kostia, Elegancik i Wowa sortowali rybę. Alosza przyłączył się do nich. Chociaż dziś silniej kołysało, praca szła mu sprawniej. Ryba padała gdzie trzeba, ale nie dorównywał jeszcze innym. Alosza sądził, że będą sobie z niego pokpiwać, że zaspał. Ale wszyscy pracowali milcząc.

Cdn.

JURIJ TOMIN

Opracowała B. TYLICKA

BOHDAN TOMASZEWSKI

JEŹDŹCY i KONIE

(2)

BYŁ TO OKRES, kiedy realizowano akurat filmowe „Popioły". Ogromne publicity miał zresztą ten film, jeszcze na długo zanim wszedł na ekrany. Wszyscy wiedzieli, że będzie to obraz dwuseryjny, panoramiczny, a ponieważ miał przenieść na ekran jedno z najwybitniejszych dzieł polskiego pisarza, więc zainteresowanie w społeczeństwie od razu było olbrzymie. Wszystko miało dziać się przy tym na tle piękna polskiej ziemi. Nierzadko przy akompaniamencie armatnich salw i tetentu szwoleżerskich szwadronów. Potrzebni byli więc nie tylko aktorzy lecz i statyści — tedzy jeźdźcy o marsowych twarzach i przepysznych żołnierskich sylwetkach. Reżyser postanowił wprowadzić do napisanego kiedyś dzieła szarżę nad szarżami. Ach, jak ludzie cieszyli się, że przeżyją wreszcie tę filmową Somosierrę!

W filmie role głównych bohaterów odtwarzali dwaj zupełnie młodzi chłopcy, studenci szkoły teatralnej. Dołączmy do pary gołowasów jeszcze jedną postać... Oto na planie pojawił się niezrównany jeździec.

O tragicznych skutkach upadku Adama Królikiewicza w czasie zdjęć plenerowych opowiadał mi Rafał Olbromski, czyli Daniel Olbrychski, młody adept sztuki aktorskiej, odtwarzający główną postać. Otóż stary jeździec nie czuł się tego dnia najlepiej, lecz gdy zobaczył konia i szwoleżerskie mundury, i czaka na głowach statystów, także dosiadł konia. Tego dnia nie kręcono zdjęć. Była zwykła przymiarka. Adam Królikiewicz puścił się wspaniałym galopem i pędził aż ziemia dudniła, a dech zaparło w piersiach patrzących.

— Jechał tak, jakby czuł, że to jego ostatni galop! — opowiadał z wypiekami na policzkach młody aktor. — Gdy wtem koń zachwiał się na grząskim gruncie i zwalił wraz z tym, który go dosiadał. Biegłem pierwszy — mówił Olbrychski — najpierw dziwiąc się, a potem niepokojąc, dlaczego pan major tak długo nie wstaje. A potem wiedzieliśmy już wszystko. Kontuzja kręgosłupa. Dosłownie parę dni wcześniej rozmawialiśmy z nim na temat ryzyka. Mówił, że za bardzo ryzykować w życiu nie wolno, widząc, że tak właśnie czynię podczas jazdy, którą opanowałem od niedawna. Lecz kiedyś wyrwało mu się, kiedy mówił o sobie: „Zawsze ryzykowałem w życiu i będę ryzykował do końca"

Odwiedzałem potem parokrotnie majora Królikiewicza w szpitalu, kiedy już przebywał w Klinice Rehabilitacji Akademii Medycznej w Konstancinie. Raz zastałem go w wózku na sali, kiedy przyglądał się ćwiczącym sport kolegom — towarzyszom niedoli. Drugi raz, kiedy wszedłem do jego pokoju, pan major właśnie golił się, lecz szło mu to dosyć kiepsko.

Oczywiście wiedział, że jego kontuzja jest bardzo poważna. Mówił, że chciałby wyleczyć się na tyle, by móc tylko chodzić — to było w czasie pierwszej wizyty — ale zaraz dodał przy tym, że niczego nie żałuje, przeciwnie — cieszy się — iż ostatni raz siedział na koniu właśnie w starym szwoleżerskim mundurze.

W czasie szarży somosierskiej występował w roli starego wachmistrza. Niestety, tak złożyło się, że nie nakręcono jego zbliżenia na ekranie. Tylko ten, kto go dobrze znał i pamiętał, jak trzymał się w siodle, mógł rozpoznać jeźdźca w szeregach szwoleżerów, atakujących wylot Wąwozu.

W nieco więcej niż rok po ostatniej wizycie świetny kawalerzysta zmarł wskutek choroby spowodowanej wypadkiem. Walczył do końca. Najtrudniejsza walka polega chyba przede wszystkim na próbach przezwyciężenia własnych załamań.

W ostatnich dniach przed końcem zetknąłem się zresztą z niezwykłym wprost zjawiskiem wielkiego przywiązania i szacunku do zasłużonego jeźdźca, jakie wykazali wobec niego przedstawiciele najrozmaitszych środowisk. Jeden ze śpiewaków Opery Warszawskiej zebrał szereg podpisów, składali je wybitni lekarze, pisarze, artyści — często stojący z dala od sportu. Na wielkim zapisanym zdobnymi literami arkuszu widniały zamaszyste podpisy głośnych ludzi. Przesyłali wyrazy pamięci Adamowi Królikiewiczowi, który leżał wciąż w szpitalu; już nie tyle życzyli mu powrotu do zdrowia, ile przypominali mu dzielność i hart ducha, jakie zawsze wykazywał w życiu — napisali, że są przekonani iż i z tej najtrudniejszej walki wyjdzie zwycięsko.

Oto pierwsze wspomnienie o dawnym kawalerzyście, niechaj więc będzie trochę i o młodym. Otóż Daniel Olbrychski, ów młody aktor debiutujący w dużej roli w „Popiołach", który zresztą już stale występuje w filmach, a co dla nas chyba jest istotne — z racji znakomitych warunków fizycznych często kreuje na ekranie role zawodników (w filmach „Bokser" i „Disneyland", ten ostatni wg powieści Stanisława Dygata), zaczął uczyć się jeździć konno dopiero z chwilą, kiedy zaangażowano go do roli Rafała. Przeszedł niezwykle ostry trening i rychło zapowiadał się na tęgiego jeźdźca. Dodam, że jeździ w tzw. pełnym siadzie, tak jak za napoleońskich czasów, co było konieczne przy kręceniu filmu. Trudno jest mu odzwyczaić się od takiej pozycji w kulbace i w jego sylwetce zapewne zawsze coś już staroświeckiego pozostanie. Można by go nazwać więc „najmłodszym z ostatnich szwoleżerów"...

Cdn.

Foto: M. Świderski

Rys. M. Kościelniak

Kto do nas napisze?

◆ **Jestem uczniem klasy V w Tychach. W naszej szkole utworzono samorząd szkolny dla klas młodszych od I—IV, nad którym nasza klasa pełni patronat. Jest to pewnego rodzaju nowość w naszej szkole, ponieważ do tej pory był tylko samorząd dla klas starszych. Nasz samorząd składa się z przewodniczącej, podprzewodniczącej, sekretarza i następujących sekcji: sekcja dożywiania, sekcja dyżurów, sekcja korespondencyjna oraz sekcja, która prowadzi skrzynkę rzeczy zagubionych. Ponieważ nasz samorząd jest zupełnie nowy, chcielibyśmy nawiązać kontakt z innymi szkołami, w których działają podobne samorządy. Chcielibyśmy w przyszłości podzielić się z innymi naszymi osiągnięciami i wynikami w nauce. Listy z adresem szkoły proszę nadsyłać pod następujący adres:**

JANUSZ KROCZEK — przewodniczący sekcji korespondencyjnej przy Szkole Podstawowej nr 11, w Tychach, woj. Katowice. (rj)

Spróbuj rozwiązać!

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI Z NUMERU 88

Prawidłowych rozwiązań może być więcej.

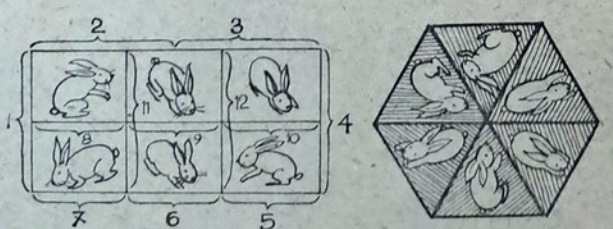

Nagrody książkowe wylosowali: **Halina Andruszewska** — Jastrowie; **Andrzej Gaj** — Głogów; **Barbara Kępska** — Poznań; **Renata Kosacka** — Jedlicze; **Tadeusz Korolkiewicz** — Korczew nad Bugiem; **Zofia Sobas** — Kłaj 159; **Anita Sitkowska** — Ełk; **Stanisław Swiderek** — Grale; **Tadeusz Wilczyński** — Sochaczew; **Julian Wadowski** — Kraków.

ROZWIĄZANIE ARYTMOGRAFU Z NUMERU 89

WIELKA REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA UTOROWAŁA DROGĘ NARODOWI POLSKIEMU DO NIEPODLEGŁEGO BYTU.

Wyrazy: karabin, młot, sierp, pęk, walec, szyb, kuje, goździk.

Nagrody książkowe wylosowali: **Irena Adamczyk** — Jedwabne; **Teresa Białoń** — Zabrze; **Wanda Batko** — Drogińia 58; **Dorota Fedorowicz** — Bełda; **Kazimierz Grodzki** — Zambrów; **Grzegorz Koza** — Garnek 2 nr 161; **Barbara Krakowian** — Zawodzie; **Janusz Nowak** — Kazimierz Górniczy; **Roman Nowak** — Bąków 4; **Andrzej Świerkowski** — Tolnicki Małe.

ROZWIĄZANIE BILETÓW WIZYTOWYCH Z NUMERU 90

I. Swarczuk — Kruszwica — jez. Gopło; Z. Sołtyn — Olsztyn — Łyna; K. Czapow — Paczków — Nysa Kłodzka; I. Staw — Wisła — Wisła; L. Busko — Lubsko — Lubsza; A. Knos — Sanok — San.

Nagrody książkowe wylosowali: **Czesław Chechelski** — Ostrzeźnica 156; **Joanna Dziwińska** — Łódź 12; **Jadwiga Kruk** — Bogusz ow ce 3; **Anna Kuś** — Nowa Ruda 3; **Edward Kryjak** — Łodygowice 845; **Halina Lubas** — Bronowice; **Marian Płaczek** — Kraków 28; **Waldemar Szmyt** — Warszawa; **Marek Zgrabka** — Legnica; **Eugeniusz Zańciak** — Dyniska Stare.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. naczelny JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna 12,00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-[illegible]0 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Zam. 1674. T-19.

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24